

RODZINA

PISMO
MIESIĘCZNE
POSWIĘCONE

WYCHOWANIU
I NAUCE
DOMOWEJ.



Grudzień 1897.

Uczcie dzieci czytać i pisać po polsku!

Rocznik XII.

Gwiazdka, czyli Gość Boży.

Mój Boże kochany! tak miło dziś wszędy,
I chwila każdemu tak czysto ucieka:
Wiesz cała się pieśnią rozlega koledy,
Każdą twarz szczęścia rumieniec obleka.
Oj! lubaź to piosnka!... rozkoszny rumieniec
I ucztą wesołą na każdym dziś stole,
Gdy działyw ochoczej okoli go wieniec,
A starcy zasięda w radosnem tem kole.
I w całej tej wiosce, my tylko dziś jedni
Witamy ten wieczór westchnieniem tęsknoty,
Na łonie dostatków cierpiący i biedni,
W dniach późnej starości samotne sieroty!
Ach! i nam też kiedyś kwitły hoże dziatki,
Co z nami tę ucztę podzielały świętą,
Lecz śmierć nam skosiła rozwite wpół kwiatki,
Dzisiaj drzemią w mogiłach pod ziemią zmarzniętą!
Więc na cóż nam mienie, obfitość, dostatek,
Gdy nie ma nikogo, by dzielił go z nami,
I biedni dzisiaj łamiąc ten biały opłatek,
W milczeniu gorzkiemi rosimy go łzami.
Nie długo nam gościć na tym Bożym świecie,
Wnet grób nas pochłonie, dwa drzewa pochyte!
Gdy ziemia nam członki bezwładne przygniecie,
Nikt płakać nie przyjdzie na naszą mogiłę.
Tak ze łzami na srogie narzekając losy,
Od dzieł najdroższych opuszczony wczesnie,
Raz w wilie przemawiał starzec siwowłosy
Do żony, co także płakała boleśnie.
A słońce się zwolna spuszczało za góry,

I krótko już miało nad ziemią zawisnąć,
I tylko już patrzeć na niebie bez chmury,
Jak pierwsza gwiazdeczka ma na niem zabłysnąć.
W izdebce sprzątniono, do stołu nakryto,
A starcy ani się ruszyli z alkierza,
Naprawdę stół dymi zastawą obfitą,
Oj! nie w smak im widać samotna wieczerza.
Wtem od wrót zaleci wykrzyk służby gniewnej,
I słaby głos nędzy, lecz brzmiący tak miłe,
Tak czysty i dźwięczny, tęskliwy i rzewny,
Jak prośba sieroty na matki mogile.
Wnet w starca żrenicy dziwny ogień błysnął,
I twarz mu zmarszczoną uroczoko okrasza,
I powstał z siedzenia i żonę uściśnął,
Patrz! mówi, najdroższa, to gwiazdka dziś nasza.
Dopierom narzekał, że nie ma też komu
Podzielić wraz z nami świątecznej ochoty,
A wszakże gość w domu, to Pan Bóg do domu,
A goście najmiłsi, biedni i sieroty.
I od wrót podwórka do chaty wprowadza,
Szczęśliwy z swej myśli z twarzą uśmiechniętą,
I z sercem radośnem za własny stół sadza
Sierotę zgłodniałą, bladą i zziębniętą.
A jeszcze za chwilę z rozjaśnionem czołem,
Gdy pierwsza gwiazdeczka zaświeciła ziemi,
Weseli szczęśliwi siedzieli za stołem,
Weseli szczęśliwi, bo Pan Bóg był z niemi.
Bo kto się nie leni do dobrego dzieła,
Nie zmoże go własnej boleści pokusa;
Bóg biadnych, w gościnę Syana mu posłał,
A jakże to błogo mieć gościem Chrystusa!

Bziesięcioro przykazań wychowania katolickiego.

(Ciąg dalszy).

Nagroda.

Co zasługuje na nagrodę? Otóż, pytanie, nad którym się nam w niniejszym rozdziale zastanowić wypada! Oczywiście, że dobre tylko uczynki godzi się wynagradzać. To rzecz, która się sama przez się rozumie, a przecież wykracza niejeden przeciw tej prawdzie częściej, aniżeli się tego człowiek po zdrowym rozumie spodziewał. Ileż to razy chwali się dzieci, że np. zemściły się, że hardo się stawiały komuś i opryskliwie odpowiadały, haniebnie kogoś oszukały lub obełgały? Nie więcej także uczynki moralno-obojętne zasługują na pochwałę np. nieużyteczna biegłość w czemśkolwiek, zgrabne ruchy, do śmiechu pobudzające skoki i t. d. Jako zasługę to jedynie poczytać należy, co od wolnej zależy woli, a więc nie: bystry umysł, dobra pamięć, przymioty czysto zewnętrzne. Ztąd też nie trudno ci będzie osądzić, jak się na to zapatrywać, jeśli niemądrzy nieraz rodzice dla tego swym malcom się cleszą, ponieważ to „taka miłuchna małpeczka“, tak „pięknie się trzyma“, tak „cudownie wiersze powtórzyć“ potrafi. Jak Bóg, tak i zastępcy Jego, o ile to w ich mocy leży, takie tylko uczynki nagradzać powinni, które z dobrej pochodzą intencji. Wszystko, co na złym wyrosło fundamencie, jest i pozostanie złem, choćby na oko z Bóg wie, jak korzystnej przedstawiało się strony. Otóż! to zasada, którą dzieciom koniecznie wpoić trzeba, jeśli mają wyrosć na ludzi prawdziwie dobrych i zacnych. Nie chwal ich dla tego, że są pilne, ale z czystej próżności, pobożne dla oka tylko, pracowite z chciwości, oszczędne ze skępstwa, posłuszne z pochlebstwa, a dobroczynne z miłości własnej. Jeśliś zaś nie jest pewny, w jakim to lub owo czynią zamiarze, zwracaj im często uwagę na konieczność wewnętrznej wartości uczynku, jakiego zamierza dokonać lub zaniechać, stawiając im raz poraz pytanie n. p. takie: „Dla czegoś to ty właśnie tak uczynił!“ — „A do czego to ma posłużyć?“ — „Cóż ty chcesz przez to osiągnąć?“ — „A to na co?“ — „Uczyniłś to w dobrej intencji?“ — „Pamiętałś też przy tem o Panu Bogu?“

I na to także zwracaj uwagę, że nagroda tylko wtenczas na swem miejscu, jeśli do czynienia dobrego potrzeba zachęty. Cnoty, do których dziecko naturalną ma skłonność; czynności, do których wrodzony ma talent, a które wskutek tego samym przykładem, pouczeniem i napomnieniem rozwinąć można, nie wymagają szczególniejszej zachęty; zato tam użyć trzeba, gdzie charakter lub nieszczególne uzdolnienie w nabyciu jakiej doskonałości lub cnoty dziecku szczególnie sprawiają trudności. Przewrotnością więc jest dziecko utalentowane dla tego chwalić, ponieważ dobre w naukach robi postępy, podczas kiedy możeby częścią tej pochwały wystarczyła, ażeby chłopca mniej uzdolnionego zachęcić do pilnego użycia mniejszych jego zdolności. I tak w każdym względzie postąpić należy.

Nie nagradzaj dalej dziecku zawsze tego samego dobrego uczynku, lecz tylko tak długo to czyn, dopóki mu tenże sprawia pewną trudność; jeśli w tym względzie nabyło pewnej biegłości, zaprzestań nagradzać. To jawny nierozum ciągle chcieć dziecko chwalić, jeśli ono z czasem do pracowitości, zgodności i posłuszeństwa przywykło. Popatrz raczej, czego dziecku jeszcze

nie dostaje albo z trudnością mu przychodzi, i tam zachęcaj, to większą korzyść przyniesie.

Nie nagradzaj wreszcie każdego pojedynczego dobrego uczynku, jak raczej cały szereg dobrych, w związku ze sobą będących czynności. Tylko wytrwałe dążenie do dobrego jest cnotą pochwały godną. Nie chwal więc zaraz chłopca, do lenistwa skłonnego, jeśli się przypadkowo lekcy wyuczył, mógł on to być zrobić z czystej fantazyi i nie kosztowało go to żadnego przewyciężenia. Przrzecz mu raczej niespodziankę jaką, jeśli i nadal pilnym pozostanie, lub na wyższe w szkole pcosunie się miejsce. Łatwo się też zdarzyć może, że niejeden uparta dziewczynka naraz stanie się powolną i usługną, jeśli ma jakąś prośbę do ciebie; nie bądź tylko zaraz zbyt pochopny w pochwalach, odczekaj cały tydzień, a potem w Niedzielę powiedz: „Widzisz, moje dziecię, w tym tygodniu byłaś grzeczną, pójdziesz za to teraz zemną do babuni; ale pamiętaj! musisz jeszcze być grzeczniejszą i lepszą!“ Dodatek ostatni, pamiętaj, nigdy nie jest zbyt uczynnym! Nagroda bowiem powinna zawsze być raczej zachętą na przyszłość, jak zapłatą za przeszłość.

Odpowiedzmy sobie teraz na drugie pytanie, niemniej ważne: czem należy nagradzać? Oczywiście nie przedmiotami, które w oczach dziecka dobrze wychowanego nie powinny mieć żadnej wartości; a więc: nie łakociami, pięknym ubiorkiem, nie próżnowaniem i niebezpiecznymi zabawami. „Jeśli będziesz grzeczną, powiada niejeden, nie pójdziesz do szkoły, ubierzesz się w ładną sukienkę, pójdziemy na zabawę, dostaniesz cukierków i t. p.“ To to samo, miły bracie, jak gdybyś takie znikomości dziecku zalecał. Co obiecujesz lub dajesz jako nagrodę, musi być godne szacunku i starunku; tyle rozumu także i nasze mają żaczki, ażeby podobne czynić wnioski.

Jeśli rodzice w obec dzieci należny mają szacunek i miłość, sama pochwała lub okazanie zadowolenia wystarczy. Poczucie honoru, jeśli go mądrze i oględnie do swoich celów użyjesz, może być równie doskonałym, jak zbawiennym środkiem wychowania. Strzeż się atoli i w tym względzie przesady. Ażeby próżności w dziecku nie wywoływać, najlepiej takich tylko pochwał używać, które mniej to, co się stało lub dokonało wynoszą, jak raczej na przyszłość stoją się zachętą, n. p. „Jeśli tak dalej postępować będziesz, pożytecznym staniesz się niewątpliwie człowiekiem!“ Patrz, matko, czy może być kto zgrabniejszym od naszego chłopca, byleby nim chciał być?“ „Masz dobre chęci, Bóg ci pobłogosławi!“ „Widzisz, tak długo byleś grzecznym, dla czegoż byś nie miał być takim zawsze? Bardzo stosowną jest także pochwała, która uwagę dziecka na przyrodzone i nadprzyrodzone skutki dobrego zwraca, n. p. „Patrz, jakie to teraz czujesz zadowolenie, żeś był pilnym, żeś się przewyciężył.“ „Tak teraz mi prawdziwą sprawiłeś przyjemność!“ „Jakże się ojciec ucieszy, skoro mu to opowiem!“ „Aniś! Stróż z pewnością o tem Bogu opowie!“ „Dzieci posłuszne z Bogiem w niebie cieszyć się będą!“

Inny rodzaj nagrody, to przyzwolenie na niewinne rozrywki. „Skoro dobre do domu przyniesiesz zaświadczenie, wyznaczę ci kawałek ziemi na założenie ogródka!“ „Skoro pracę dobrze wykończysz, udzielię ci czasu do twojej ulubionej zabawy.“ „Ponieważ nie byleś w tym tygodniu upartym pójdziemy oboje odwiedzić dziadka!“ Zapowiedziana przechadzka do lasu lub w pole, opowiedzenie jakiej zabawnej i pouczającej historyjki lub powiastki, wycieczka do jakiego

pięknie położonego miejsca, zabranie dziecka ze sobą na jakie cudowne miejsce, wyuczenie jakiej pięknej modlitewki lub pieśni: to wszystko, jeśli dziecku sprawia przyjemność, może być także dlań nagrodą. Co do podarunków strzeż się przeładowania niemi dzieckiem! Piękny obrazek, pożyteczna jaka książka, książeczka do nabożeństwa, różaniec lub krzyżyk, kilka nowych groszy do skarbonki, zabawka, za którą dziecko od dawna wzdychało, to rzeczy najodpowiedniejsze. Ażebym nagromadzeniu podobnych nagród zapobiedz, daj mu je w takim zwłaszcza czasie, kiedy zwykłeś niespodzianki robić, n. p. na imieniny, na gwiazdkę; nagroda w oczach dziecka na wartości nie straci, urok dnia przeciwnie tę wartość jeszcze podniesie.

Nie zawadzi w końcu dodać, że nagrody zwyczajnie wpróżd, niż kary użyć trzeba; do kary uciekaj się zazwyczaj wtenczas dopiero, kiedyś nagrodą zamierzonego nie osiągnął skutku! Takie znaczenie ma owe wyrażenie, że „trzeba najpierw dobru poprobować słowy“; wyrażenie, które niejedni fałszywie pojmują, jakoby się dziecko formalnymi prośbami do posłuszeństwa nakłaniać godziło.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

CUDOWNY KAMIEŃ.

(LEGENDA.)

I.

Pomiędzy Włosciejewkami a Mohami, największymi dziś wsiami powiatu Śremskiego, przed bardzo dawnymi latami rozciągały się wielkie lasy i bory, gdzie teraz żyzne łąny i pola złotą rodzą pszenicę. Nieopodal Włosciejewek, wśród lasu, ocienione konarami drzew leży niewielkie jezioro. Kawał od niego nad drogą stała przed dawnymi czasy zagroda gajowego Jakóba. Składała się ona z domku małego, chlewika i stodołki, otoczonych płotem z gestych pní, a wśrodku podwórza widniał wysoki żóraw studzienki.

Nie był leśnik ten bogatym, ale na niczem nie zbywało mu i w życiu wiodło mu się też niezgorzej, choć bogactw nie posiadał, bo raz po raz grosz zbytni ukrył w komórecie, a i praca jego nie była zbyt ciężka, bo dostatek naonczas opału nie rodził tylu perwizów drzewa, co dziś, i od złodziejów takich nie potrzeba się było ciągle oganiać. Spokojne więc mógłby był pędzić życie, gdyby żona jego nie mąciła mu tego spokoju.

Była to nie stara, urodziwa kobieta, przytem oszczędna i gospodarna i męża dość kochająca, ale przytem miała ona niegodziwą przywarę: była złościca i kłótnica wielka.

O lada błahą rzecz unosiła się, złościła, odgrzała, a język z czasem tak jej się w tem wyrobił, takiej nabrał wprawy w doborze słów, że te jak grad padały, a uszy trzeba było już zdala wtedy zatykać. Długo ucierał się Jakób z żoną, chcąc ją od tego odzwyczaić: prosił, błagał, groził наконец, ale bał poznać w końcu, że wszystko daremnem było, owszem wtedy ona jeszcze więcej docierała słowami. Więc nie chcąc większej czynić obrazy Bożkiej, uchodził natenczas do lasu i dobrze się nahiegał, nim obliczywszy, że już pogoda po burzy domowej nastąpić musiała, powrócił do domu, gdzie tylko jeszcze ostatki burzy w mruczeniu się okazywały.

Grzech karze często sam siebie, tak też i z gajową było.

Dobytek ich stanowiło kilka sztuk bydełka, krówek, cielaków, trzody chlewnej, gęsi i kury; to wszystko potrzebowało opieki zachodu, starania i pracy, czemu sama Jakóbowa wydolać nie zdołała. Prawda, była w s'anie służebną sobie do pomocy trzymać, o co ją nawet mąż bardzo prosił, lecz cóż, kiedy rozpuszczony język, jak pytel u młyna o byle jaką rzecz, o byle drobnostkę i szkodkę, jakiej w gospodarstwie nie unikniesz, pytlował i odstraszał służbę. I roku żadnego nie minęło, w którymby kilku sług nie musiała gajowa poszukiwać, a najwięcej sama napracować się musiała.

Druga troska Jakóba była, a tą się już oboje troskali, brak potomstwa. Choć to dziś narzekają ludzie, zamiast dzięki Bógu składać za błogosławieństwo Jego w dzieciach, a przecie, jeśli Bóg daje dzieci, da też na dzieci, bo jak Pismo św. mówi: „I lilje polae Bóg przyodziewa, a ptaki niebieskie żywi,“ a czyżby o ludziach, na obraz Jego stworzonych, zapominał? O nie, lecz Bóg chce, by pracą i trudami około dziełek zasłużyć sobie na miano rodziców. A jednak i dziś, kiedy Bóg tylko cofnie rękę błogosławiącą i nie opatrzy rodziny dziećmi, jakto tam w niej wygląda. Jaka to niechęć do wszystkiego ich ogarnia i zazdrość na grono czerstwych dzieteczek, bo czują, że nie wypełnili posłannictwa swego na ziemi. Tak i nasi gajowi smucili się tem, trapiłi i zazdrościli innym szczęścia tego, a zwłaszcza Jakóbowi ciężko to na sercu zawisło.

Minęło skwarne lato, nastąpiła chłodna jesień. Pracy około pólka zatem było więcej jak zwykle. Pomagała Jakóbce dzielna i pracowita sługa, ale razu jednego, rozgniewana gajowa na nią wrzaśnie:

— Oby cię już raz czarci porwali! ty przebrzydła dziewczyno.

— A po cóż mię mają czarci brać? — odrzekła — toć ja sama mogę zaraz odejść, kiedy się wam nie zdam.

Jakoż zabrawszy wieczorem manatki, niespostrzeżenie odeszła.

Dni stawały się krótsze, a wieczory dłuższe, zima nadchodziła, wtedy naprawdę gajowa podołać sama robocie nie mogła i jakoś znikąd sługi dostać nie było można. Nadeszła i wigilia Bożego Narodzenia. Roboty w dzień ten było w domu więcej, niż zwykle, to też ciągle niecierpliwiła się gajowa i nakoniec złość na męża wywarła i obsypała go gradem słów bezbożnych. Wtedy wyszedł z izby, schwycił kij spory i na cględziny lasu się puścił, by dopiero na wieczera przybyć do domu.

Obszedłszy sporo lasu, zwrócił się na dróżyne, gdy śnieg coraz sporszymi płatkami sypać począł, a zimno wzmagać się zdawało. Spuścił więc futrzaną czapkę na uszy i ku domowi krok skierował, gdy tuż pod ogromną sosną jakiś widok go uderzył.

Cos przyczajonego do ziemi, w kłęb zwiniętego i śniegiem obielonego zobaczył. Zbliżywszy się, zapytał:

— Kto tu jest?

Zamiast odpowiedzi jęk i płacz usłyszał.

— Na Boga, mów! kto jesteś? — zapytał, ująwszy ręką postać, gdy dziewczynkę lichu odzianą, zmarzniętą i trzęsącą się, zobaczył.

— Zrząd się tu biedactwo wziętaś? Czemu do domu nie idziesz, zmarzniesz jeszcze na drodze.

— Ja nie mam domu żadnego, jestem sierotą, sama jedna na świecie.

— Nie masz domu, biedaczko, to chodź ze mną, eo się ogrzejesz i powolisz.

Dziewczę z wdzięcznością spojrzało na gajowego i podażyło za nim, ale zmarznięta szła nie sporo, ujął więc ją za rękę i poprowadził do zagrody.

— Już tak długo na cie czekać musiałam, wieczerza już gotowa — wrzała na wchodzącego męża gajowa — narobiłam się jak niestworzenie Boże, a on jeszcze na siebie oczekiwać każe. Już ja sama nie podołam i jak mnie złość porwie, to wszystko rzucę.

— Toć ci prowadzę pomoc — rzekł, wchodząc gajowy.

— Gdzie, kogo? mówże!

— Oto tu jest — rzekł, puszczając naprzód przestraszone dziewczę.

— Cha, dziecko, jakiś skrzat, wyjadacz chyba do miski; a zkąd je to nabyłeś?

— Bóg ją nam zesał na gwiazdkę; sierota, jak powiada; nie mamy własnych dzieci, moglibyśmy je zatrzymać, a ty będziesz miała z czasem pomoc.

— Wyjadacza chyba, już ona to wszystkie kata warte, jak się wygryzie to pysek znajdzie.

Dziewczę na te słowa strwożone spojrzało na gajową.

— Nie zawadzi nam popróbować, widać sama Bóg nam to lichotwo daje — dodał Jakób.

Łzy zrosiły niebieskie oczka dziewczęcia, te rozbroiły panią gospodynią, udobruchała się i rzekła:

— A jak ci na imię?

— Marysia! — cicho odpowiedziała sierota.

— No, tylko już nie płacz! jeśli będziesz chciała mnie słuchać, toż ci łyżki strawy nie pożałuję! a teraz siadajcie, bo wieczerza wystygnie, a dziewczyna pewnie i głodna — dodała Jakóbowa.

Gajowy, wedle staropolskiego zwyczaju, odmówił modlitwy przed jedzeniem, podzielił się opłatkiem z żoną i sierotką: zasiedli w troje do stołu sutego, poczem znów Bogu za dary Jego podziękował.

Marysia, ośmielona zachętą gajowego, najadła się dobrze, że aż blada twarzyczka rumieńcem się zabarwiła, gdy i błogie ciepło po ciele uczuła.

— Usiądź sobie przy piecu, rozgrzej się i opowiedz nam coś o sobie! — rzekł gajowy.

Dziewczę z płaczem opowiedziało, że wcale ojca nie pamiętało, że z biedną matką żyło samotnie, a gdy ta po długiej chorobie umarła, nie mając krewnych ni przyjaciół żadnych, przeszło rok cały z jałmużny żyło, aż gniała, bojąc się, by im na koscie nie pozostała, wydała ją przed zimą. Poszło więc w świat szeroki szukać przytulku, którego nigdzie nie znalazło; szło dalej, płacząc po drodze, aż dziś siły ją opuściły i pod sosną odpoczywając znalazła je gajowy. Kiedy więc usłyszało, że je dobroczyńcy u siebie zatrzymać mają, ucieszyło się wielce, ręce im ucałowało i obiecało być pilnem i posłusznem. Tak zrządzeniem Bożem znalazła w samą gwiazdkę i dom i opiekę u gajowych.

II.

Już dobrze rok upłynął, jak Marysia w lesie mieszkała. Była ona bardzo posłuszną i pilną, nie leniła się do żadnej roboty, chcąc się dobrodziejom wywdzięczyć, a mimo to często, bardzo często ofukała ją niecierpliwa gospodyni, ba i wyzywała ją nieraz i kułakiem poczęstowała, choć w gruncie duszy cieszyła się nabytkiem dziewczęcia, bo ani połowy teraz pracy nie

miała, składając ją na Marysię; lecz przyzwyczajonemu językowi trudno się było oduczyć. Marysia zaś chętnie jej to darowała, bo zawsze się ona winną być widziała i na siebie winę składała; jedynie kłątwa niewymownie ją przerażała, bo dziewczę dziwnie dobrem było.

Choć roboty miało sporo i gospodyni Marysi ani chwili wolnej nie dawała, jednak tak się z robotą urządziła i zawinęła, że zawsze ją pokończyła. Czas wolny w komórcie swej Bogu poświęcała; odmawiała klęcząc pacierze tak rano, jak i wieczorem, przed każdą robotą wpięrow się przeżegnała i Bogu ją polecała, to też łaska Boża dopomagała jej i swobodną była, a i bladeść lic znikła, a na twarzy rumieńce osiadły.

Gajowy, poznawszy ją dobrze, dziękował Bogu za nią, bo zdawało mu się, jakoby z dobrą Marynią i błogosławieństwem Bożem rosło i gdyby nie złość żony, byłby całkiem szczęśliwy.

W pobliżu miasteczku był jarmark. Gajowa wraz z mężem wybrała się nań po różne sprawunki, które do domu zakupić trzeba było, dom więc pieczy Maryni poleciła. Nadto przykazała jej, by przed wieczorem z pobliskiego jeziora nanieść wody do jutrzejszego prania.

Pospieszyła się Marysia z robotą i jeszcze słonko wysoko z południa stało na niebie, kiedy ona zamknawszy dom, wzięła wiadra na ramiona i jak zwykle wpięrow się przeżegnawszy, ku jeziorowi po wodę poszła. Trochę zmęczona chciała chwileczkę na wielkim płaskim kamieniu, który tuż przy brzegu jeziora leżał, odpocząć, ale myśl rozkazu, iż gospodyni kazała jej nie próżnować, w tej samej chwili jej się przypomniała, więc ująwszy wiadra w ręce, nachyliła się i zanurzyła je we wodzie. Atoli na ślizkim brzegu noga jej się potoczyła i chcąc się od upadku zabezpieczyć, puściła wiadra i ręką się podtrzymała; lecz niestety pełne wody wiadra, puszczone z ręki, nagle pod wodę w głębinę na dno poszły i znikły z oczu Marysi.

— O Boże, Boże! gdzie moje wiadra? — wyjękła. — Ach, co powie gospodyni? nowiuśkie jeszcze były, co ja, biedna pocznę, och jak będzie na mnie kłnęła i tego wszystkiego moja nieuwaga przyczyną!

Oglądała miejsce, czy ich nie zobaczy, poszukała spory drątek, maciła nim wodę, czy na nie nie natrafi, ale gdzie tam, ni śladu; stromy brzeg jeziora uniósł je pewno daleko pod wodę.

— O najdroższa święta Panienko! ratuj biedną sierotę! — wyrzekła ze łkaniem — bo ile to razy będzie obrazy Boga, gdy ja bez wiader powrócę! o ja nieszczęśliwa! O pomóż mi święta, Maryo! — płała dalej, a nie wiedząc, co ma począć, patrzyła wciąż na igrające spokojnie fale jeziora, ale pod niemi nic widać nie było.

Bezmyślnie zwróciła się od wody, gdy w tem spostrzegła na kamieniu stojącą jakąś św. osobę. Przelekniona widokiem i jasnością osoby olśniona, mimowolnie padła na ziemię.

— Nie smuć się, Marysiu! — rzekła łagodnie osoba na kamieniu. — Syn mój wysłuchał prośby twojej, tylko służ Mu zawsze wiernie!

Nie podobna opisać wrażenia, jakie dziewczę ogarnęło. I radość i przestach i cześć i wdzięczność ją opanowały, zapomniawszy całkiem o wiadrach, tylko w piękną postać oczy wlepiła, aż ta jej nagle znikła z oczu, i ostry krzyk wyrwał ją z tego niebiańskiego zachwyty.

— A ty przeklęty nygusie, to tak mi się odpłacasz; zamiast się spieszyć, to ty rozwalasz się przed kamieniem, opieszalcze, nygusie, leniwcze! Dam ja ci już, plemię cygańskie!

Te gromy słów wychodziły z ust gajowej, która nie mogąc doczekać się Marysi, nad jezioro pobięła.

Ocknęła Marysia, jakby zimną wodą zlane, przypomniała sobie swe nieszczęście i swą dołę, lecz słowa osoby: „Nie smuć się, Marysiu!” podniosły jej ducha; obróciła się bezwiednie ku jeziorowi i otóż przy samym brzegu stoją oba wiaderka, napełnione po brzegi wodą i czekają, by je tylko zabrano.

— Cud Boży, cud Boży! — jęło dziewczę, o dzięki Ci, Najświętsza Panienko!

Potem opowiedziała całą swą przygodę gajowej.

— Co, cud jakiś wymyślasz na uniewinnienie lenistwa, ja ci już cud sprawię — wrzasła gajowa.

— A cud uczyniła mi niegodnej Najświętsza Panienska.

— Śniło ci się pewno, dla ciebie, ładaco, Bóg cuda czynić będzie.

— O tak, tu stała Najświętsza Panienska, na tym kamieniu! — rzekła Marysia, wskazując nań ręką.

Gajowej oczy na kamień padły i o dziwo! o cudzie nowy! oto wyraźne pozostały dwa ślady stóp świeżo na kamieniu wyciśnięte, gdzie stały świeże stopy. Dziwi się gajowa, strach ją jakiś ogarnia i słowa nie wyrzeka, a kiedy Marysia święte ślady całować poczęła i ona usta swe do nich zbliża.

Modliła się sporą chwilę Marysia przy cudownym kamieniu, a gajowa zamiast łajania, nieruchoma pozostawała i gdy Marysia z pełnymi wiadrami do domu wracała, i ona za nią z pochyloną głową podążała. Opowiedziały cud zdarzony gajowemu, a zaprzeczyć go nie można było, bo ślady stóp na kamieniu wyraźnie o cudzie świadczyły.

— I tyś całowała te święte miejsca? — zapytał gajowy.

— Ach, niegodna, odważyłam się — odparła.

— Usta, które świętych rzeczy się dotykały, nie mogą więcej bluźnić Panu — wyrzekł gajowy, Bóg się nad tobą zlituje, bo Najświętsza Panna przyczyniła się za nami. Tak, cud nowy w domu gajowego.

Gajowa, która dotąd jedynie ślała modły czartowskie, której język pyłował, jak koło młyńskie, teraz stała się milczącą; już nie tylko nie klnie, nie wyzywa, ale nawet niepotrzebnego nie wyrzeczła słówka. A trudna to rzecz temu, kto język przez lata sobie wprawił. Lecz Święta Panna za modły Marysi sprawiła, że gajowa teraz Panu tylko służy.

Jaka ztąd radość była dla męża! Spokój i błogosławieństwo Boże osiadły w domu chrześcijańskim, a Marysia oddała była żrenicą oka gajowej, tak ją kochała, pieściła i czuwała nad nią.

Szybko rozeszła się w okolicy wieść o cudzie. Jak to zwykle bywa, nie wszyscy wierzyć chcieli, bo ludzie tego świata łaski na oczach na sprawy Boże mają, ale gdy na znajomym kamieniu ślady stóp zobaczyli, gdy w tak okłętą gajową, tak cichą, skromną i pobożną niewiastę zastali, trudno im było przeczyć. Kamień cudowny odtąd w wielkiem pozostawał uszanowaniu u ludu. Zbiegali doń zewsząd w cierpieniach, na nim modły ślali, a ślady stóp całowali.

Umarł pobożny gajowy, umarła i po nim żona jego, cały dobytek swój Marysi przekazując. Pięknie się ona rozwinęła, dostatek miała nie mały, a przytem cnotliwa i pobożna zwracała na się oczy niejednego

z młodzian. Niejeden syn kmieci zapragnął ją mieć żoną i odzywał się z tem życzeniem, ale pobożna Marysia wszystkim odmawia ręki, mówiąc, że Najświętszej Pannie ślubowała panieństwo.

Kiedy cała okolica pełna była wieści o cudownym kamieniu, kiedy nie jeden przy nim odebrał łaski nieba, kiedy i sam dziedzic, zebrząc przy nim pomocy dla dziecka, odzyskał zdrowie jego, z wdzięczności w Włoskiejewkach wznieść kościół postanowił. Już na dobre potrzeby zwoził poczęto na budowlę, gdy raz jednego Marysia u dworu prosiła o posłuchanie.

— Wielmożny Panie — błagała — jam pierwsza łaski Nieba doznała, dozwólcie mi, bym z wdzięczności do chwały Bożej przyczynić się też mogła. Mam dostatek niezasłużony od mych dobroczyńców, składam go więc w ręce wasze, wielmożny Panie, raczcie go użyć na budowę domu Bożego, niech i ja się dołożę cząsteczką mą.

Podobała się dziedzicowi ofiara sieroty i wdzięcznie ją przyjął. Kościół rychło stanął, a na pamięć cudu, kamień cudowny wmurowano w ścianę. Tu przed nim długie lata siadywała sierotka, żyjąc jedynie z jałmużny ludzi, aż ją Bóg po zapłatę wieczną powołał.

Zatarała się już niejedna łaska odebrana w Włoskiejewkach u cudownego miejsca, ale ślady na cudownym kamieniu pozostały, i dziś jeszcze wierni z czcią je całują.

Do mego syna chrzestnego.

Mała dziecino, dziś kapłańskie dłonie
Chrystusowemi okryły cię godły,
A z serc życzliwych płyną na twe skronie
Błogosławieństwa i serdeczne modły.

Pod błogosławieństw i modłów opieką
Niech zdrowo wzrasta i krzepi się ciało;
By sił starczyło na podróż daleką,
Gdzie wiele cierni, a róż bardzo mało.

Pókiś dziecięciem w kolebce, w powiciu,
Błogosławieństwa i modły wystarczą;
Ale czy potem w całym twojem życiu
Będą ci one i zbroją i tarczą?

Z dziecięcia w krzepkie wyrośniesz pachole,
Potem młodzieńcem, potem będziesz mężem,
Znajdziesz po drodze dobrą i złą dołę,
Wszędy przebijając się przyjdzie orężem.

Ale ten oręż nie kuty ze stali,
Ani go kupić za srebro lub złoto;
On nie zabija, nie rani, nie pali,
Ten oręż zwie się: dobrą wolą — cnotą.

I nie wziąć z obcych rąk tego oręża,
Bo choć hartowny, dzielny, doświadczony,
Choć w polu walki niechybnie zwycięża —
Trzeba go ukuć własnymi ramionami.

Kiedy tak zbrojny wystąpisz na boje,
Jako lew chlubny, jako łabędź czysty,
Nie bacz na trudy, zwady i znoje,
Stój przy chorągwi jako „miles Christi.”*)

*) Żołnierz Chrystusów.

Różaniec św. ostoną.

Zdarzenie prawdziwe z czasów wojny francusko-pruskiej.

W piękną Niedzielę sierpniową miał nasz proboszcz kazanie o modlitwie. Pamiętam, że kazanie o tym samym przedmiocie już pierwszej kiedyś wielkie na mnie uczyniło wrażenie. Przed przeszło dwudziestu laty słyszałem w Paryżu w kościele Najśw. Panny katechety O. Lacordaire; następujące słowa zostały mi w pamięci „modlitwa wychodzi tak ze serc ubogich, jak królów; również silną jest, gdy wychodzi ze strzech, słomą pokrytych, jak z pałaców cedrowym drzewem zdobnych, czy pochodzi z piersi żebraka, który się okruszyną chleba żywi, czy też z piersi mocarza, który wielkiego kraju jest panem.“

Sławnego Dominikanina słuchali uczeni, artyści, mężowie wielkich zdolności i mądrości; mógł więc mówić wysokim i nadobnym stylem. Prości wieśniacy, do których przemawiał nasz proboszcz, nie żądali tak pięknej wymowy.

Tymczasem zauważyłem, że wiejski proboszcz wypowiedział myśli, których nie dotknął sławny Dominikanin. Między innymi powiedział: „Bóg ma w opiece swojej tego, który się modli.“ Mówił dalej: „módlcie się na polu, a żniwo będzie większe, módlcie się w domu, a nieszczęście nie zbliży się do niego.“

Wracając z kościoła do domu, szedłem ścieżką, która prowadziła pod borem. Mieszkańcy wioski gromadkami dążyli do domu przez równinę, na której złote kłosa pszenicy łagodnym poruszane wietrzykiem w tę i w ową stronę się kołysały.

Droga, którą szedłem, była prawie pusta, prowadziła bowiem tylko do dwóch czy trzech domów na uboczu stojących.

Przedemną szedł męczyzna, którego starałem się doścignąć. Był to Jakób Orwal. Służył on jako sierżant w 42-gim pułku piechoty. Wyśłużwszy lata swoje we wojsku, wrócił do swej ojcowskiej zagrody, która leżała w kantonie Chartres. Z ogródka jego widać było wspaniałą katedrę i otaczające ją miasto. Porównywał on otaczające kościół domy miasta do kurcząt, które pod skrzydłami swej matki szukają schronienia.

Równie dbały rolnik, jak waleczny żołnierz, był Jakób jednym z owych silnych, poważnych i niestrudzonych dzieci swej prowincyi.

— Oó, sierżancie — rzekłem, dopędziwszy go — słyszeliście kazanie i odtąd modlić się będziecie.

— Ja się modlę od dawnego czasu, — odpowiedział Orwal — wiem, że modlitwa ostonia, a z kądem wiem, to historia, którą pannu kiedy opowiem.

Napierałem, ażeby zaraz opowiedział, a sierżant zapalwszy sobie fajeczkę, tak rozpoczął:

— Staliśmy załogą w Rzymie, gdy wojna r. 1870 wypowiedziana była, odwołano nas i przywieziono do Francyi, a w dniu bitwy pod Sedanem staliśmy w Mezieres, gdzieśmy strzały armatnie słyszeli. Po podziwieniu godnym odwróceniu jenerała Vinoy wcieleni byliśmy do armii, broniącej Paryża.

Po licznych bitwach posłano batalion, w którym służyłem, do Vitry. Sypaliśmy szańce i zakładali różne inne dzieła ku obronie, lecz czujność nieprzyjaciela przeszkadzała nam w pracy.

Nieprzyjaciół wybrał najcelniejszych pruskich i bawarskich strzelców. Ci podczołgali się w pobliże prac naszych a ukrywając się za krzaczkami i najmniejzymi

pagóreczkami, uważali na nasze prace i ruchy i gdy się który z naszych pokazał, brali na cel i nigdy nie chybiałi, poczem nagle znikali.

Nasz jenerał chciał temu sposobowi zapobiedz i przeciwko nieprzyjacielowi podobnego sposobu użyć. Kazał wystąpić ochotnikom, którzyby dobrze strzelali i gotowymi byli życie narazić na niebezpieczeństwo. Między innymi i ja wystąpiłem i byłem przyjęty. Mieliśmy się podczołgać aż do przepisanego oddalenia, a potem uważać na nieprzyjaciela nie dając się spostrzedz. Strzelać zaś mieliśmy tylko wtedy, gdyśmy pewni byli, że nie chybimy, aby nie psuć prochu. W końcu polecił nam, abyśmy jak najprędzej na miejsce swoje się udali, aby nieprzyjacielowi grę popsuć, a „wyteć oko i ucho, dodał, i nie zapominajcie, żeście otoczeni ludźmi, którzy was oszczędzać nie będą.“

Krótko przed wachodem słońca udałem się w łozysko prawie zupełnie wyschniętego strumyka i idąc na rękach, włókłem się jego gzygawkowatym korytem z przewieszonym przez ramię karabinem i sucharem w kieszeni. Za pas zatknąłem rewolwer i dalekowiedz mego porucznika. Oplatanka pełna kawy uzupełniła moje zasoby.

W bliskości grubego drzewa, które się wśród zarosli wznosiło, zatrzymałem się. Szybko przebiegłem wzrokiem równinę, aby się rozpatrzyć i poznać okolicę. Choisy-le Roy leżało przedemną, Sekwana płynęła po mej lewej ręce, fort Ivry był za mną.

Na tem miejscu wybrałem sobie moje stanowisko. Bagnetem skopałem ziemię, zrobiłem z niej mały kopczyk, posypałem go suchym liściem i porobiłem w nim na wylot otwory, aby przez nie patrzeć nie będąc widzianym.

Przeleżawszy kwadrans nie ruszając się, począłem dokładniej rozpatrywać okolicę. Około 50 metrów przed sobą widziałem drogę, wiodącą przez pole, zryte granatami. Droga wiodła nad żywym płotem w części zniszczonym, tu i owdzie leżały zwalone drzewa, tworząc zastonę.

Ogromne skiby ziemi, głębokie bruzdy, zwaliska dwóch spalonych chat smutny przedstawiały widok. Był to obraz strasznego spustoszenia.

Na nieszczęście droga nie prowadziła równolegle do strumyka, w którym się znajdowałem. Dla tego bardzo łatwo mogłem być wystawiony z jednej strony na ogień nieprzyjacielski. Skręty strumyka nie dawały mi daleko widzieć.

Aby wkrótce zapomnieć, że może kilku prusakom służyć za tarcz, starałem się drobnymi rzeczami myśli moje zająć i w rzeczy samej myśl o śmierci, każdej chwili mi grożącej, od siebie oddaliłem. Zająłem się mrówką, która wlekła ciężar większy od niej samej, podziwiałem chrząszcza, który rozpostarł swe zielone skrzydełka na korze drzewa.

Słyszałem huk przytłumiony armat, dochodzący mnie z fortów Ivry i Chareton, strzały karabinowe z Gareaux Boefus i Maulin-Saquet, granaty przelatujące nad moją głową i pękały po prawej i lewej stronie. Lecz huk dział i grad żelaza nie zdołały odwrócić mojej uwagi od mrówki i chrząszcza.

Nie zapominałem jednakże o mojem zadaniu i czuwałem. Przeszła godzina, po niej druga i począłem wątpić o mojem postanowieniu, gdy naraz zdawało mi się, że widzę rękę, która się pokazała i znikła.

Wkrótce nie mogłem wątpić, że nieprzyjaciół jest, i to w mojej bliskości. Pochwyciłem za dalekowiedz

i ujrzałem głowę i ręce człowieka tak blisko, że mi się mimowoli cofnął. Człowiek ten mnie nie widział.

Siedział na ziemi z wyciągniętymi nogami, głowę oparł na lewej ręce i kawałkiem drzewa rył ziemię. Zdawało się, że zapomniał o swem zadaniu śledzenia nieprzyjaciela. Był to bawarczyk, bez brody, o jasnych krótko przystrzyżonych włosach; twarz jego pocziwy miała wyraz.

Pomimo munduru łatwo w nim było poznać młodego wieśniaka, który bez wątpienia myślał przebywać w swej ojczyźnie. Prawdziwie przykro mi było zastrzelić go w jego siedlisku.

Tymczasem gotowałem się do tego, schwyciłem za karabin, przyklnąłem na prawe kolano, przyłożyłem broń i czekałem, aż mi się na cel wystawi. Chciałem mu wymierzyć w same piersi, aby mu cierpień umniejszyć.

Bawarczyk wyciągnął głowę, rozglądał się w około nie zatrzymując się wzrokiem na miejscu, które zajmowałem. Ponieważ mnie nie odkrył, wyciągnął skórzany woreczek z kieszeni, położył na kolana i otworzył go. Prawą ręką wyjął z niego przedmiot, którego rozpoznać nie mogłem. Odłożyłem karabin i wziąłem mój dalekowiedz ku pomocy. Bawarczyk miał różaniec w rękach, wstał, upadł na kolana, przeżegnał się i tem poruszeniem wystawił się na cel.

Instynktem wojennym powodowany schwyciłem karabin i wziąłem go na cel. Widziałem go przed sobą z pochyloną cokolwiek głową, z wzniesionymi ku niebu oczyma. Z ust jego płynęła modlitwa, a paciorki przesuwają się w jego palcach.

Co się ze mną działo, nie wiem. Jako katolik czułem gotującą się w moich żyłach krew; zdawało mi się, że widzę jasne promienie spuszczające się z nieba na jego głowę; zdawało mi się nawet, jakoby jasnymi obłokami otoczony wznosił się ku niebu. Święte widzenie ogarnęło mnie całego, a karabin wypadł mi z ręki.

Tu Órwał przerwał swoje opowiadanie. Jam mu odpowiedział:

— Karabin wypadł wam z ręki, to mi przypomina, co mi mówił kiedyś pewien kapłan: kto z was nie zaznał w życiu swym obcej ręki niewidzialnej, niewytłumaczonej, jednym słowem, Opatrzności Boskiej?

Bawarczyk wrócił do ojczyzny swojej, nie przypuszczając, że mu modlitwa uratowała życie.

— Gdy się cofnął i ja opuściłem moje stanowisko. W tej chwili dwie kule gwizdnęły mi około uszu. Obróciłem się szybko, lecz nie spostrzegłem, zskąd pochodziły. Modlitwa onego człowieka bez wątpienia i mnie zastroniła.

Gdy jednakże następnej nocy w biwaku czuwał, pytałem siebie, czym miał prawo oszczędzać nieprzyjaciela ojczyzny mojej.

Aby uspokoić moje sumienie, brałem dnia 20-go i 29-go Listopada udział w bitwie, narażając swoje życie z wielką odwagą i oddałem dług ojczyźnie swojej. Wieczorem ciężko rannego zanieśli mnie do lazaretu polnego, gdzie otrzymałem medal za waleczność.

WIELORYBY.

Pod nazwiskiem wielorybów rozumieją takie zwierzęta, które z kształtu swego bardziej do ryb, jak do

zwierząt ssących są podobne; ale ponieważ mają krew czerwoną ciepłą, oddychają płucami i karmią młode mlekiem, przeto słusznie do zwierząt ssących się liczą.

Wieloryby nie mają zębów, ale zamiast nich wykształciła się szczeka wyłożona jest w poprzek na podniebieniu liściami, a raczej szczapami rogowymi, z których mamy znany w handlu fiszbin. Takich szczap bywa do 700 różnej wielkości, niektóre do 15 stóp są długie. Głowa wielka trzecią część wielkości wieloryba wynosi, w tyle jej wznosi się garb, a w tym 2 otwory nozdrzy czyli pryskawki 3 cale obszerne. Otwory te służą do wdechu, do wciągania powietrza i do wypryskiwania zagarnionej z pokarmem wody. Woda temi pryskawkami wznosi się czasem do 15 łokci w górę, i tym sposobem żeglarze zdaleka poznają wieloryba. Zwierze to jest największem z pomiędzy ssących, dorasta 60 łokci, a cały wazy do 200000 funtów.

Przy takim ogromie ciała, gardło wieloryba jest szczupłe, i zaledwie olbrzym ten może drobne ryby połykać. Rzeczywiście też pożywieniem wielorybów są drobne ryby, jako to śledzie i różne morakie stworzenia, zwane mięczakami i skorupiakami, które wieloryb w paszczę swą wraz z wodą zagarnawszy, rozciera szczapami fiszbinowemi i połyka, a wodę zabraną pryskawkami w górę wyrzuca.

Kolor wieloryba jest aksamitno-czarny, siwy i biało-marmurkowy, pod spodem zupełnie biały. Skóra na ciele gładka, pod nią leży warstwa tłuszczu od 10 do 20 cali gruba, jeden wieloryb może dostarczyć 120 beczek tłuszczu, z którego wytapia się do 30 beczek tranu; można też z kości wieloryba wytapiać dobry tran. Kości są twarde, podobnie jak u innych ssących, ale są dziurkowane jak gąbka. Dwie ogromne kości podpierające wargi stanowią szczekę dolną. Te kości dawniej udawano za żebra wielkoludów i zawieszano w przedsionkach kościołów i t. p. Wieloryby żyją w morzach strefy umiarkowanej i zimnej. Ogromne to zwierzę pływa bardzo szybko, do czego mu ogon jego jest bardzo pomocnym, ma w nim wielką siłę i broni się w razie niebezpieczeństwa. Co kilka minut wypływa on na wierzch dla wciągnięcia powietrza. Mięso wieloryba jest tłuste, z niego to i z tłuszczu będącego pod skórą wytapiają tran, używany od mieszkańców krajów północnych na pożywienie; u nas zaś używają tranu do smarowania skór, aby nie przemakały od deszczu. Używają też tranu w niektórych słabościach, do smarowania ciała i do picia; lecz w tym celu przyjemniejszy jest, a mianowicie do brania wewnątrz tranu rybi, wytapiany z wątroby Dorsza, który żyje w morzach północnych i jest prawdziwą rybą.

Półw wielorybów jest bardzo korzystny i odbywa się na morzach lodowatych północnych i południowych. Przedtem sami Holendrzy trudnili się tym połowem, później wprawiać się poczęli ludzie innych narodów nadmorskich. Z Ameryki północnej i Anglii, kilkaset statków corocznie wypływa na morze, dla łowu wielorybów. Śmieli rybacy wypływają na łodziach a napotkawszy wieloryba, uderzają nań ostrym żelazem (harpunem zwanem), które umocowane na linie kilkaset sążni długiej, zatapiają w wieloryba, tak ugodzony zanurza się w wodzie, lecz po chwili wypływa dla odetchnienia powietrzem. Raz ugodzony wieloryb, jeżeli harpun dobrze w nim utkwiał, już jest pewną zdobyczą, bo jakkolwiek zanurza się i daleko odpływa, jednakże łowcy w ślad za nim płynąc na łodzi, skoro się tylko na wierzch wody ukaże, powtórnie rażą har-

punem aż do zupełnego zmordowania go, co po upływie krwi zwykle w parę godzin następuje. Nie zawsze jednak jest łatwy połów wieloryba, zraniony broni się rozpaczliwie, i zdarza się, że silnem uderzeniem (gona łodzie, na których rybołowcy się znajdują w drobne kawałki roztrzaska, dla tego wielką odwagę i ośroźność przy połowie jego zachować należy.

POTĘGA I DOBROĆ MARYI.

WIARA ŻOŁNIERSKA.

W roku 1826 widzieć można było na jednej z ulic miasta Metz (w Lotaryngii) małego ubożego chłopczyka, który nędznie ubrany drżał ze zimna i płakał. Przechodzący tą ulicą uczciwy żołnierz, o szlachetnem, dobrem sercu, spostrzegł go i przystąpił do niego.

— Dla czego płaczesz, malcze? — zapytał chłopca.

— O, jestem bardzo nieszczęśliwy, — odrzekł zapytany.

— Ile masz lat?

— Dziewięć.

— Przed dwoma dniami straciłem ojca i matkę.

— Ty kłamiesz, malcze.

— O nie, jestem bardzo nieszczęśliwy.

— Czy mówisz prawdę?

— Mówię prawdę. Napisz pan do proboszcza wsi, z której pochodzę, a on potwierdzi, że mówię prawdę.

— Chodź ze mną malcze!

Pocciwy wojak zaprowadził chłopca do restauracji, gdzie złożywszy pewną ilość pieniędzy, rzekł do gospodarza:

— Zatrzymajcie u siebie to dziecko, a pielęgnujcie mi je dobrze.

Poczem napisał do Proboszcza, który mu odpowiedział:

— Niestety, wszystko jest prawdą, co wam malec powiedział... Odeślijcie mi go; może się znajdzie jaka litościwa osoba, która go przyjmie na wychowanie.

Na to odpisał mu żołnierz:

— Nie, Księżo Proboszczu, ja mu będę ojcem i matką.

Czyn podziwienia godny! Gdy się zbliżył koniec czasu jego służby, wstąpił jeszcze raz jako ochotnik do wojska, a odebrane za to pieniądze zaniósł do przełożonego pewnego domu wychowawczego.

— Panie, przyjmij to dziecko do twego zakładu i wychowaj mi je dobrze; proszę, uważaj na nie pilnie, jest to mój syn przybrany. Sądzę, że przez sześć lat będziesz go pan mógł wychować; składam na ten czas 1800 franków. Pamiętaj pan o duszy jego, a ja będę pamiętał o jego ciele.

Przełożony przyjął chłopca do swego zakładu.

Załatwiwszy tę sprawę, żołnierz udał się do kościoła, upadł przed ołtarzem Najśw. Maryi Panny na kolana i modlił się:

— Najświętsza Panno! czuwać nad tym chłopcem! Poświęcam go Tobie i ofiaruję go w połowie Tobie, w połowie sobie...

Po roku przybył do zakładu, żeby zobaczyć chłopca. Przełożony rzekł do niego:

— Weźmijcie go ze sobą; jest on złym przykładem dla całego domu i psuje resztę dzieci. Nie od-

powiada on wcale waszym oczekiwaniom.

Żołnierz zasmucił się, a pomyślawszy chwilę, rzekł:

— Zatrzymaj go pan jeszcze przez pół roku. Sądzę, że się poprawi. Proszę pana, zrób pan jeszcze próbę... Jakiś głos wewnętrzny mówi mi, że się Bóg ulituje nad nim i nademną!

Przełożony przystał na jego prośbę, a żołnierz poszedł znów do kościoła, ukląkł przed tym samym ołtarzem i w prostej swej podziwienia godnej wierze oznał się do Maryi, jak gdyby był mówił do swej matki: — Ależ, Panno Najświętsza, Tobie go powierzyłem... mego chłopca! Był on tak samo Twoim, jak i moim!... Ależ Panno najświętsza, prosiłem Cię, abyś nad nim czuwała! O Pani moja, czyś zapomniała o nim? — Ja się sprzedawałem dla niego... a Ty, Matko najlepsza nie dla niego uczynić nie chcesz? — O Maryo, czyż mam zwątpić o Twojej dobroci i Ciebie już o nic więcej nie prosić? — O nie, Matko najlepsza; spodziewam się, że tym razem wysłuchasz mnie i weźmiesz chłopca w opiekę Swoją! — Ja nie przestanę nigdy Tobie ufać i Ciebie kochać!

Co za ufność! Co za podziwienia godna wiara!

Przy końcu roku następnego mógł chłopiec ów posłużyć za wzór godny naśladowania całemu zakładowi. Później został kapłanem i był przykładem cnót i świętobliwości życia dla wszystkich, którzy go znali.

Szczęśliwe dziecko! Szczęśliwy i ów żołnierz pocciwy!

ZADANIE.

Pierwsza druga ma na wsi znaczenie niemałe, Rolnik jej nie wypuszcza z rąk przez lato całe; Drugi na wspak to mały przedmiot papierowy, Który ludziom niekiedy bałamuci głowy; Na pierwszej trzeciej często w ogrodzie i w lesie Młodzież z upodobaniem wyszczerbia nożyki, A kiedyś w dawnych czasach, jak podanie niesie, Pisano na niej pono dziejowe kroniki Wszystko zaś są to ludzie, co na wsi mieszkają, I z pierwszą drugą zawsze do czynienia mają.

Rozwiązanie zadań w Nr. 11:

MA-TE-RA-CE.

Dobrze odgadli pp.: Emanuel Oleśniowicz z Zaborza C., Jerzy Adamczyk z Biertutów, Jan Badura z Halberstadu (prow. saska), Augustyn Głazowski z Bytomia.

Z NIWY ŚLĄZKIEJ.

Wiersze Czesł. Lubińskiego
2 tomy w jednej książce 320 str.

Cena za egzemplarz:

nieoprawny 1,00 mkr.
oprawny 1,50 " "
eleg. oprawny w płótno 1,80 " "

Na porto uprasza się dołączyć 20 fen. — Za nadosłaniem należytości w znaczkach pocztowych przesyła odwrotnie

Wydawnictwo „Katolika”

Wierna Róża.

Powieść proz Karola Miarkę.
Cena egzempl. broszurow. 60 fen., z przesyłką 70 fen.

Wydawnictwo „Katolika”
w Bytomiu G.-Ś.



Na próbę

1 brzytwę No. 41, okł. z naśl. kości słon. wyb. wyszlif. obciągn. już gotowa do użytku w fut. 2,20 m. No 50 mniej dobra, okł. czar. zresztą taka sama jak popr. 1,50 m. Brzytwa bezpieczeństwa „famos”, którą się może każdy golić bez popr. wprawy z wszelką pewn. 3,50 m. Karol Niediek, fabrykant w Hagen przy Solingen. Ilustr. katal. narz. stal., domow. maszyn i narz. optycz. wysyłam darmo i franko.

